

Józef FERT

HALA PANA COGITO CZYLI WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ

Zastanawiam się, dlaczego poeta skazał swoje wiersze – z wyjątkiem tych kilku – na całkowitą prywatność, na obieg w zamkniętym kole dwu serc, dwu par rąk... Dlaczego nie dopuścił ich przed oczy niczyje więcej niż tej „wyśnionej, wymarzonej”? Patrząc na jego dzieło „od końca”, możemy przyznać mu rację: rzeczywiście „to są chyba kiepskie wiersze”, a przynajmniej wobec tylu znakomitych jego utworów tak się mogą przedstawiać.

Najpierw próba wiersza. O Poecie bowiem powinno się może tylko wierszem!

w starych czasach sztuka
coś znaczyła
mówi flaszy
denko
w tęcz zachwył
w tęcz zachwył
prowadzi po schodach skrzypiących
w kalejdoskop
do gwiazdy
dymi też
mój wiersz
nie powiem
dym – na
poezja

za wiek po erze
ktoś zbierze czarną spadź

Ale dość wierszyków!

Właśnie ukazał się (w Lublinie dotarł do sklepu Leclerca) niecodzienny twór firmy „Małgorzata Marchlewska Wydawnictwo” – tom erotyków Zbigniewa Herberta zawierający dwa cykle poetyckie i kilkanaście nie powiązanych w cykl wierszy miłosnych napisanych blisko pół wieku temu dla Haliny Misiołek, muzy poetyckich pierwocin naszego Księcia Poetów.

Zaczynając od karty tytułowej zauważamy jej ekscytującą niecodziennność: Zbigniew Herbert, *Podwójny oddech, prawdziwa historia nieskończonej miłości*, wiersze dotąd nie publikowane, wyd. I, wstęp B. Szczepuła, Gdynia 1999, s. 108 (cena 16, 40 zł). W nocie copyrightowej wymienione zostały: Halina Mi-

siołek, Barbara Szczepuła, „Małgorzata Marchlewska Wydawnictwo”. Niestety nic o nich nie słyszałem.

Na wieść o objawieniu się owej książki skoczyliśmy z Władkiem i Andrzejem do naszego lubelskiego uniwersamu, wpadliśmy pomiędzy półki z książkami, pomijając inne, a następnie całą drogę do naszych spokojnych domostw przegadaliśmy o „za i przeciw” zdarzenia, którego oto jesteśmy świadkami. Zignorowaliśmy na razie kluczowy dla polonistów problem: co dobrego dla kultury narodowej wynika z ogłoszenia tych (nie powiem) na ogół dość słabowitych wierszy Herberta? To pominęliśmy, bo przecież wiemy nie od dziś, że „koń, jaki jest, każdy widzi...” – juveniliom zawsze ciężko egzystować u stóp i w cieniu góry późniejszego talentu, chyba że są to juvenilia Rimbauda! O tym nie mówiliśmy, bo zbyt kochamy Herberta, by się przejmować jego niewydarzonymi wybuchami miłosnej szczerości wobec starszej od siebie o lat dziewięć i wówczas legitymującej się dwiema córkami pani H. To przecież stara pieśń, powracająca przez wieki w najprzeróżniejszych konfiguracjach.

Rozprawialiśmy, zresztą z niejakim zacietrzewieniem (ale trudno spodziewać się spokoju w sytuacji, gdy rozprawiają zapaleni wielbiciel jakiejś wartości, wobec której inni także próbują – jak potrafią – wyrażać swe uwielbienie), głównie o tym, czy owa edycja, którą z wierzchu zdążyłem obejrzeć jeszcze w sklepie, podpada pod jakoweś paragrafy prawne. Zdumiewające, nigdy bowiem – z wyjątkiem przedwojennego procesu Przesmyckiego z Pinim o tom wierszy Norwida – nie patrzyłem na książki zawierające poezję przez filtry prawniczych „paragrafów”. Ale i mój odwieczny kolega i adwersarz Władek raczył preferować raczej taką paragrafijną opcję naszej dysputy; Andrzej z kolei koncyliacyjnie łagodził spór.

Może to sklepowy nastrój podsuwa takie tony? Ale nawet po opuszczeniu Leclerca nie udało się nam wyzwolić od presji prawa autorskiego. Pytanie: czy ta garść Herbertowskich rękopisów powinna była – w sensie prawnym – ujrzeć światło dzienne przed upływem 50 lat od śmierci autora lub, jeśli tak, to przynajmniej z copyrightowym udziałem prawnej spadkobierczynie poety? A co na to powie *Prawo autorskie* swoją ordynarną polszczyzną (np. w artykułach 17., 52., i 6.)? Udział w tym przedsięwzięciu spadkobierczynie praw autorskich na pewno nie przesądziłby jednoznacznie o wartości czynu w sensie moralnym, ale zaświadczyłby przynajmniej o towarzyskiej (w sensie szerokim, czyli społecznym, i w sensie węższym – czyli osobistym) dojrzałości firmy „Małgorzata Marchlewska Wydawnictwo”. Czuję, że naruszono tu jakieś istotne dobra. Nie jestem jednak prokuratorem i – obłudnie ubolewając nad krzywdą wyrządzoną pamięci nieżyjącego poety – gotów byłbym się szczerze po polonistycznemu ucieszyć z kapitalnej okazji do dotknięcia tak zazdrośnie przez niego skrywanych pierwocin swego talentu.

Ścisła dyskrecja, kurtyna milczenia, zasłona miłosierdzia spuszczone na te pierwsze porywy geniuszu?... By to uzmysłwić, dość wspomnieć zawziętą wal-

kę Herberta z krytykami, którzy nieoględnie przypomnieli mu pewne aspekty jego udziału w socrealistycznych imprezach lat pięćdziesiątych: w paksowskiej antologii „...każdej chwili wybierać muszę” (*almanach poetycki*) czy w konkursie na V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów¹. To przesadne eksponowanie karty przeszłości nie do końca czystej można rozpatrywać w kontekście nie tylko drażniących niekiedy pozaliterackich deklaracji poety, ale też pozycji jego debiutanckiego tomu *Struna światła* (1956), który może się jawić jako księga ponad zwyczajność piękna i dojrzała, a równocześnie jakoby niczym ważnym nie poprzedzona. Tymczasem „fenomen” tego debiutu (zresztą również tomów następnych) objaśnia, choć równocześnie niemiłosiernie gmatwa, garść wierszy – niekiedy nadzwyczaj pięknych i dojrzałych i zresztą przez poetę w większości prawie bez zmian przedrukowanych w *Strunie światła* – które znalazły się w owej skazanej na niepamięć antologii². Tajemnica powołania poety! Niejasne są te przeznaczenia. Jeśliby bowiem próbować prognozować przyszłość pisarską Herberta z kilku debiutanckich wierszy ogłoszonych w „Tygodniku Powszechnym” pod koniec 1950 roku³, cóż objawiłoby się, prócz może silnego wrażenia „stylizacji”? Oto jeden z tych „zapomnianych” przez poetę wierszy:

Jerzemu Zawieyskiemu

Palce wrzeciona dźwięków przyczynę melodii
Zanim złożysz na strunach by mówić z powietrzem
Połóż na własnej twarzy niech je oddech przetrze
Pomyśl jak Jan Sebastian znalazł klucz do nieba
Którym przedtem otwierał tylko pięciolinie

*

Palce wrzeciona linii mądrzy rysownicy
Kładą na białych kartach z których kształt wykwita

¹ Zob. Z. Ł a p i ń s k i, *Jak współżyć z socrealizmem: szkice nie na temat*, Londyn 1988, s. 97-101.

² „...każdej chwili wybierać muszę” (*almanach poetycki*), red. M. Bieszczadowski i in., Warszawa 1954, Wydawnictwo PAX. Nakład 2 000, jak na owe czasy, nie jest zawrotnie wielki, bo np. pięciokrotnie więcej egzemplarzy otrzymał almanach „Iskier”: *Almanach literacki*, red. W. Leopold, Warszawa 1954. Dodajmy, że oba tomy wypromowały – z różnych niejako pozycji – przynajmniej kilku pisarzy, którzy później wyraziście zaznaczyli się w polskiej literaturze. W paksowskim almanachu natykamy się np. również na Stanisława Grochowiaka, a w książce „Iskier” m. in. na Ernesta Brylla, Jerzego Harasymowicza i Marka Hłasę.

³ Z. H e r b e r t, *** [Palce wrzeciona dźwięków...], „Tygodnik Powszechny” nr 51-52 z 17-24 XII 1950; *** [Powietrze mieszka w instrumentach...] oraz *Dwie stance: Sierpień, Morze*, „Tygodnik Powszechny” nr 53 z 31 XII 1950.

I trwają nad zmiennością lat trwogi wyzbyte
 Księżniczki holbeinowskie zaszyte w uśmiechy
 Których wargi są wagą przyszłych konstelacji

*

Palce wrzeczona wierszy o młodzi poeci
 Ważcie długo na wargach nim dotkniecie karty
 By ponad zamęt świata zatopione barwy
 Zapach odejścia w kwiatach i nietrwałości słów
 Słyszano głos jedyny głos który nas woła

Wiersze zagrzebane w pozółkłych, kruchych, pachnących kurzem i tytoniem kartach „Tygodnika Powszechnego” Ale oto otrzymujemy cały zbiór wierszy, nie pojedyncze zdarzenia liryczne. Ta więc przygarść postrzyżynowych pukli – *Podwójny oddech* (cóż za tytuł!) – mogłaby podsunąć zachłanną myśl, że nareszcie odzyskujemy brakujące ogniwo ewolucji, co czyni świat bardziej zrozumiałym, a przez to – chciałoby się wierzyć – bardziej znośnym. Przypuszczam, że podobnymi intencjami kierowały się też trzy niewiasty odpowiedzialne za tę edycję, uwiecznione na stronach tytułowych. Nie chciałbym bowiem snuć podejrzeń, że powodowała nimi wyłącznie damska potrzeba zademonstrowania swojej niezwykłości. Dama, jaka jest, każdy widzi...

Niestety. Nie oszczędzono mi rozczarowań, a może nawet gniewnego zaślepienia, które popycha mnie oto do pisania tego donosu do wieczności. Pomijam na razie głębsze rozważania nad aspektami moralnymi sprawy, choć na pewno nie są one mało ważne, i tymczasem proponuję na ową książeczkę spojrzeć okiem księgarza, krytyka, historyka literatury.

Rzecz w każdym calu zrobiona została po amatorsku. A przy tym skażona jest licznymi błędami językowymi i technicznymi. Imituje książkę, ale książką prawdziwą nie jest. Przypomina poczwarkę, która nie wie, jak się wydobyć z nieopatrznie przez siebie utkanego kokonu. Podstawy tekstowej, z której książka czerpie, autor nie przeznaczył przecież do druku, a przynajmniej nie w takiej, jak to zrobiono, formie. Rzecz zapewne na wieki miała pozostać rękopisem, niepowtarzalnym upominkiem zakochanego poety – o święta naiwności natchnionych pięknoduchów! – zaistniałym w jednym jedynym egzemplarzu – dla tej jednej jedynej... Na stronach tytułowych Herbertowskich „tomików” widnieją przecież noty napisane jego ręką: „Nakład oczywiście własny” – to przy tomiku *Podwójny oddech* (z roku 1950), i druga nota, przy tomiku *Pięć wierszy dla Hali*: „Nakładem autora, Warszawa 1953”. Nigdy potem autor nie sięgnął do swych wierszy, zebranych w pierwszym cyklu, nigdzie ich nie przedrukował. Pisał zresztą w liście dedykacyjnym do swojej „najmilszej”: „To są chyba kiepskie wiersze, gdyż nigdy nie mogłem opanować wzruszenia, kiedy pisałem” (s. 29).

Inaczej postąpił z wierszami w cyklu drugim, dwa z nich trafiły do tomu *Struna światła*: pierwszy, oznaczony w rękopisie gwiazdkami, uzyskał w druku tytuł *Drży i faluje*, w tomie tym znalazł się też utwór *Wersety panteisty*, a także wiersz *Mama*, zapewne podarowany adresatce – podobnie jak kilkanaście innych, zebranych w omawianej tu edycji – w bliżej nieokreślonym czasie, ale chyba później od całego cyklu. Z kompozycji *Pięć wierszy...* autorskiego druku doczekał się jeszcze jeden: *Niepoprawność*, który znalazł się w tomie *Hermes, pies i gwiazda* (1957). Wymienione wiersze (łącznie cztery spośród 30 zebranych obecnie w tomie *Podwójny oddech*) poddał poeta w edycjach książkowych różnorodnym – na ogół jednak nieznacznym – przetworzeniom. Na karcie tytułowej *Podwójnego oddechu* czytamy tymczasem: „wiersze dotąd nie publikowane”...

Jak w tej sytuacji oceniać przedsięwzięcie wydawnicze Małgorzaty Marchlewskiej? Nieczystość intencji wyziera z każdego miejsca tego edytorskiego kuriozum. Jest to bowiem książka jak gdyby wyrwana z jakiejś fazy przygotowań do wydania, nie zaś ukończona edycja Herbertowskich juveniliów. Nawet farba drukarska – w różnych odcieniach zieleni – dokuczliwie nieczytelna, podsuwa skojarzenia raczej z ozalidem (wydrukiem próbnym w przedostatniej fazie produkcyjnej książki, pozwalającym skontrolować głównie prawidłowość łamania) niż z gotowym produktem sztuki drukarskiej. Wydawca zamieścił wprawdzie faksymilia rękopisów Herberta, ale wykonane tak słabo, tak nieczytelnie (znów ta nieszczęsna zielona farba w różnych odcieniach!), że nawet użycie mocnego szkła powiększającego nie zawsze pozwala je odcyfrować. A przecież kiedyś wiersze te trafiły do rąk adresatki zapewne w postaci idealnie czytelnych, elegancko skomponowanych czystopisów. Widać to nawet na tych nędznych reprodukcjach. W małoformatowym tomiku (16 x 11,5 cm, z czego prawie połowa powierzchni przypada na marginesy!) odwzorowania autografów poety przybierają formę nużąco nieczytelnej ilustracji, zmieniają się w zielone plamy na przemian z zielono mrugającymi ich przekazami drukowanymi. Więc po co te zielenie, te sztuczki z podobizną autografu? Dla ozdobności?

Owszem nie pożałowano tu i innych ozdób: jest legitymacyjne zdjęcie Herberta (czy chodzi o to samo, które zabrała adresatce wspomniana we wstępie „miła pani”, która pisała pracę magisterską o Herbercie?) i kilka innych zdjęć, na których – domyślamy się – uwieczniona została muza pieśni miłosnej młodego Pana Cogito (jej zdjęcie przyozdabia też okładkę tomiku).

Oczywiście ani słowa, skąd zdjęcia, kto je wykonał, w jakim czasie... W ogóle większość najistotniejszych dla czytelnika informacji edytorskich pominięto: kto i jak dotarł do rękopisu, gdzie się obecnie on znajduje, w jakim jest stanie. Nic! Owszem, książkę przyozdobiono również „wstępem” – pióra Barbary Szczepuły – domyślamy się, głównej sprawczyni tego przedsięwzięcia wydawniczego, ale próżno w nim szukać pożywnych informacji filologicznych i doku-

mentacyjnych, prócz łzawej historyjki miłosnej, ilustrowanej okruchami wspomnień starszej pani oraz obfitymi cytatami z listów Herberta do swej Hali.

Ich romans, jak można wywnioskować z cytatów i owej dziennikarskiej rozmowy wplecionej we wstęp do *Podwójnego oddechu*, trwał od 1950 do 1961 roku, jednostronne wyrazy pamięci (po oświadczeniu Herberta, że zakochał się w innej – choć osłodził to klasycznym „ale ciebie zawsze będę kochał” – Pani H. zerwała z nim wszelkie kontakty) właściwie nie ustały do śmierci poety. Z tego wszystkiego można oczywiście utkać dobrze sprzedającą się, „towarową” książkę. Cóż, kapitalizm zbłądził pod strzechy prędzej niż niejedno ważne dzieło. Na szczególną ironię w tym wszystkim zakrawa deklaracja Pani H.: „Moja miłość nie skończyła się nigdy” (s. 19), tymczasem publikacja owych prywatności po upływie zaledwie kilkunastu miesięcy od śmierci poety wywołuje jednak inne wrażenie, ... chyba że Panią Helenę ktoś najzwyczajniej po kupiecku podszedł i wykorzystał, nie bacząc na obyczajowe konotacje swojego wyczynu.

Dodać trzeba, że mimo niewątpliwej staranności Herbertowskich rękopisów (oczywiście tego też trzeba się domyślać), nie do końca można ufać ich drukowi. Dla przykładu fragment wiersza *Ręce i oczy*:

Ręce coraz to dłuższe
a długie to znaczy bezradne
oczy coraz to większe
załapiają powieki
Ręce moje szukają
oczy popłyną do światła

Pomijam niezgrabstwo całego obrazu, bardziej zaniepokoiło mnie jedno z wyrażen: „oczy załapiają powieki”, owszem w *Słowniku warszawskim* jest wyraz „załapić”, ale porównanie grafologiczne liter „ł” i „t” podpowiada, że może to być zarówno wyraz „załapiają”, jak i „zatapiają” (proszę porównać owo „t” w wyrazie „tapety” w autografie wiersza *Piosenka o nas* i w kilku innych miejscach, żeby zauważyć skłonność pisownianą poety do oznaczania „t” identycznie jak „ł”)... Estetycznie zbyt wiele przez to się nie zyskuje, ale przecież w tym samym wierszu poeta użył znamiennej metonimii:

oczy coraz to większe
dwie zatrzymane łzy

„Łzy” asocjacyjnie niewątpliwie bliższe są „zatapianiu” niż „załapianiu”.

Pora przejść na pole samej poezji zawartej między zielonymi okładkami *Podwójnego oddechu*. Pomijam wiersze znane z wersji drukowanych w tomach *Struna światła* i *Hermes, pies i gwiazda*, dodam tylko, że wiersz *Mama* – z pewnością jeden z bardziej udanych utworów młodzieńczych Herberta – doznał

najgłębszego przetworzenia; w wersji późniejszej zatarła się na przykład interesująca fraza „historycznoliteracka”:

czyta mój wiersz
 – nic nie rozumiem
 chciałam abyś był inżynierem
 albo doktorem
 [...]

 ponieważ jestem niepodobny do marzeń
 wyjeżdżam zaopatrzony
 w ciepłą bieliznę
 i przykazania o zdrowiu
 (*Mama, Podwójny oddech*)

Na to miejsce weszła równie ciekawa, ale jednak inna mowa:

ten który upadł z jej kolan
 zaciska usta i milczy
 [...]

 syn niepodobny do marzeń
 (*Mama, Struna światła*⁴)

Pozostałe wiersze w wersjach książkowych nie uległy tak znacznym przeróbkom. Nawiasem mówiąc, na ogół na tych przeróbkach zyskały, jak na przykład wiersz *Wersety panteisty*, szczególnie interesujący ze względu na osnovę „Herbertowskiego” rytmu, który tu stopniowo dostępuje łaski stylu; w wersji autografowej znajdujemy:

słowa co miały być ochroną ciała
 niech mi przepaści przyprowadzą.
 (*Wersety panteisty, Podwójny oddech*)

W wersji książkowej wiersz nabiera męskiej zwięzłości i muzycznej dobitności:

słowa co miały chronić ciało
 niech mi przepaści przyprowadzą
 (*Wersety panteisty, Struna światła*⁵)

W artykule wstępnym do *Podwójnego oddechu* czytamy ciekawą uwagę o tych wierszach autorstwa samej ich adresatki: „Wolałam Różewicza, bo wier-

⁴ T e n ż e, *Mama*, w: tenże, *Struna światła*, Wrocław 1994, s. 49.

⁵ Tamże, s. 55.

sze Herberta wydawały mi się takie trochę... bezosobowe. Ale nie wszystkie, oczywiście” (s. 6). Myślę, że to bardzo poprawne odczucie, aczkolwiek niekoniecznie trafna ocena („wolałam...”). Pani H. otrzymała przecież od samego twórcy początek nici, która – jak się okazuje – prowadziła na szczyty poezji polskiej. Ale trudno się dziwić brakowi dystansu u osoby tak głęboko zaangażowanej w samą personę raczej niż w jej kreatorskie dokonania. Tak, tomik ten – tak nieudolnie i wręcz niechlujnie wydany – pozwala wejrzeć w głąb początków twórczości Herberta, początków w zasadzie nieczytelnych w jego dojrzałych tomach wydawanych od 1956 roku.

Zastanawiam się, dlaczego poeta skazał swoje wiersze – z wyjątkiem tych kilku – na całkowitą prywatność, na obieg w zamkniętym kole dwu serc, dwu par rąk... Dlaczego nie dopuścił ich przed oczy niczyje więcej niż tej „wyśnionej, wymarzonej”? Patrząc na jego dzieło „od końca”, możemy przyznać mu rację: rzeczywiście „to są chyba kiepskie wiersze”, a przynajmniej wobec tylu znanych jego utworów tak się mogą przedstawiać. I nic tu nie pomoże sztuczne obiektywizowanie, odrywanie świadomości od tego, co w jego poetyce nastąpiło „potem” – Herbert zbyt mocno wpisał się nam w świadomość jako autor wierszy najpiękniejszych, by akceptować utwory „takie sobie”. Bez wątplenia sam to rozumiał i godził się na dramatyczne wykreślenie z dorobku wcale niebłahej liczby tekstów. Myślę, że w którymś momencie jego praktyki poetyckiej pojawił się imperatyw poezji ponadosobistej, i za tym głosem poszedł do końca. Tymczasem wiersze i wierszyki z obu miłosnych cykli, a też wiele innych sprzed *Struny światła* (a jeszcze bardziej – sprzed następnych tomów) nie dorastały do tej – jakże trafnie przez Panią H. odczutej, choć wówczas dopiero zawiązkowej – „bezosobowości”, którą należałoby raczej nazwać chyba ponadosobnością. Jakże proroczo odpycha od siebie – choć gra – te wiersze w kodzie dedykacyjnej *Naszej miłości*:

„Na tym właśnie polega poezja.

Jeszcze chciałbym Ci powiedzieć, kochanie, że jesteś właściwą autorką tych wierszy i bardzo pragnąłbym abyś odnalazła w nich swój oddech”.

To czucie wieszczę dopiero się w poecie formuje, choć tak naprawdę formować się będzie do końca, do jego niezwykłego *Epilogu burzy*, w którym ramię zachodu napotyka ramię wschodu i odpomina się początek wszystkiego. Początek nieskończoności. Czytając jeden z pożegnalnych wierszy poety, *Czułość*, widzę ostatnie rzeźby-bruliony Michała Anioła zgromadzone we florenckiej Galerii Akademii – te wiekowe oliwki powykręcane przez wszelakie dopusty boskie i ludzkie w ciągu długiego żywota, te łzy bezradnej dobroci padające na ciało zimnego w swej pysznej genialności *Dawida*... Tak dociera do mnie *Czułość*.

Cóż ja z tobą czułości w końcu począć mam
czułości do kamieni do ptaków i ludzi
powinnaś spać we wnętrzu dłoni na dnie oka tam
twoje miejsce niech cię nikt nie budzi

Psujesz wszystko zamieniasz na opak
streszczasz tragedię na romans kuchenny
idei lot wysokopienny
zmieniasz w stękanie eksklamacje szloch

Opisać to jest zabić bo przecież twoja rola
siedzieć w ciemności pustej chłodnej sali
samotnie siedzieć gdy rozum spokojnie gwarzy
w oku marmurów mgła i krople toczą się po twarzy⁶

P.S. Właśnie objawił się „ciąg dalszy” sensacji wokół prywatnego życia Pana Cogito. Ta sama posiadaczka Herbertowskich papierów ogłosiła – przy pomocy wydawnictwa Małgorzyny Marchlewskiej – tom listów poety: Z. Herbert, *Listy do muzy. Prawdziwa historia nieskończonej miłości. Listy dotąd nie publikowane*, Gdynia 2000. I znów – idendyczność programu wydawniczego, szczególna ignorancja, przykre niedbalstwo, a przy tym jakaś rozbijająca naiwność... Oto cytat z listu Herberta do „kochanej Haluni” z 15 stycznia 1951 roku: „Nie wspominaj o mnie nikomu [...]. Spal listy i wiersze, i wszelkie ślady” (s. 5). Sapiienti sat!

⁶ T e n ż e, *Czułość*, w: tenże, *Epilog burzy*, Wrocław 1998, s. 74.